

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XVI, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.**
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. Kraków, 7 lutego 1914. Nr. 6.

Epokowa chwila.



OD WYDAWNICTWA.

Z powodu strejku zecerów we wszystkich drukarniach krakowskich, dzisiejszy numer „Nowości Illustrowanych“, tak samo jak poprzednie, wyszedł w zmniejszonej znacznie objętości, skutkiem czego nie mógł pomieścić artykułów i wszystkich aktualności, za co przepraszamy naszych Czytelników. Aby ubytek ten wynagrodzić, po ukończeniu strejku powiększymy znacznie objętość numerów.

W dzisiejszym numerze „Nowości Illustrowanych“ na str. 12 zamieszczamy oczekiwaną z takiem zainteresowaniem

Wielką Szaradę konkursową

za rozwiązanie której przeznaczamy kilkadziesiąt cennych nagród, z których ważniejsze widzimy na zamieszczonej poniżej illustracyi.



Epokowa chwila.

(Do illustracyi tytułowej).

Dzień 28 stycznia pozostanie na długo pamiętnym w dziejach galicyjskiej autonomii. Udało się doprowadzić do porozumienia w sprawie reformy wyborczej, która przez długie czasy była kością niezgody pomiędzy obydwiema narodowościami, kraj zamieszkującemi.

Po usunięciu ostatnich przeszkód, o godzinie czwartej po południu, zebrała się wspólna konferencya prezydyów klubów polskich i ruskich, przybył na nią także namiestnik, marszałek i metropolita Szeptycki, dzięki któremu porozumienie doszło do skutku.

Nastrój był bardzo poważny.

Po przemowach dra Głąbińskiego i Kosta Lewickiego w sprawie przyszłych okręgów wyborczych z ludnością mieszaną, czem zająć się ma subkomitet geometryczny, przystąpiono do podpisania protokołów, stwierdzających porozumienie w sprawie reformy wyborczej między Polakami i Rusinami.

Ekscelencya Abrahamowicz wystosował gorący apel, żądając od reprezentanta klubu ukraińskiego, aby złożył deklaracyę, iż Rusini, jeśli dalszy rozwój narodowościowy będzie nakazywał stawianie dalszych żądań, przeprowadzać je będą tylko na drodze legalnej.

Dr. Lewicki odpowiedział, poczem przystąpiono do podpisywania protokołów ze wszystkich dotychczasowych konferencyi wspólnych i z ostatniego posiedzenia, stwierdzając zupełną zgodność zapatrywań co do wszystkich punktów ugody.

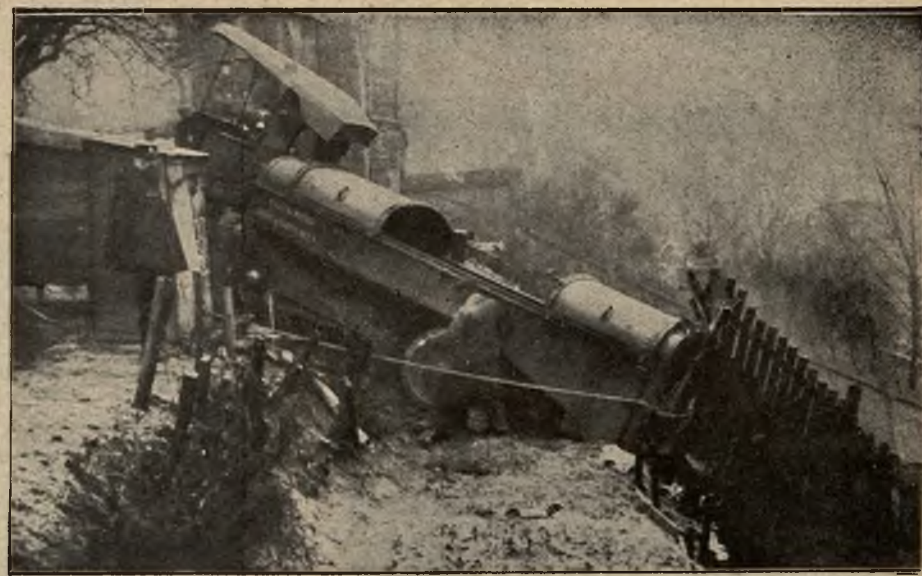
Gdy protokół wszyscy podpisali, zabrał głos metropolita Szeptycki, wyrażając radość z doprowadzenia pomyślnie do skutku wielkiego dzieła. Jest ono szczęśliwym prognostykiem na przyszłość co do pokojowego współdziałania obu narodów we wszystkich sprawach, dotyczących całego kraju.

W tym samym duchu przemawiał marszałek Gołuchowski i namiestnik Korytowski, dziękując wszystkim obecnym za udział w pracach koło wiekopomnego dzieła.

Nasza tytułowa illustracya przedstawia epokowy moment podpisania przedwstępnych punktów ugody.



Muzeum polskie na Ukrainie: Pałac w Łosiejówce, gdzie mieszczą się cenne zbiory p. Józefa Wyleżyńskiego.



Wypadek automobilowy w Paryżu: Automobil do przewozu mięsa, który spadł z szosy do głębokiego rowu.

Muzeum polskie na Ukrainie.

Nie wielu dotychczas słyszało o Łosiejówce. Jest to cicha wieś na Ukrainie, w pow. Berdyczowskim. I w tem odległem od polskiego życia kulturalnego ustroniu mieszczą się prawdziwe skarby polskich pamiątek, zbieranych i przechowywanych z pietyzmem przez właściciela Łosiejówki, p. Józefa Wyleżyńskiego, człowieka światłego i dobrego Polaka.

Spokrewniony z licznymi arystokratycznymi domami w kraju i za granicą, kuzyn słynnej z salonu artystycznego w Paryżu księżnej Decazes (urodzonej z Oktawii Wyleżyńskiej), dziedzic łosiejowiecki należy do rzadkich już dziś u nas w sferach ziemiańskich typów — miłośników sztuki i zamiłowanych zbieraczów. Pałac jego to wielkie muzeum pamiątek rodzinnych, starożytności, obrazów, sztychów, porcelany, a przedewszystkiem — sportu. W tem swojem muzeum, latami tworzonem, jest p. Józef Wyleżyński głęboko rozmiłowany.

Obok wspaniałej galeryi obrazów artystów polskich, są w Łosiejówce drogocenne meble z pałaców Działyńskich, Wiszniowieckich, Radziwiłłów, Ilińskich, są przepyszne okazy starożytnych przedmiotów, są rzadkie stare sztychy i inne wizerunki, dotyczące Ukrainy, Wołynia i Podola.



Muzeum polskie na Ukrainie: Zbiory sportowe p. Józefa Wyleżyńskiego w Łosiejówce.



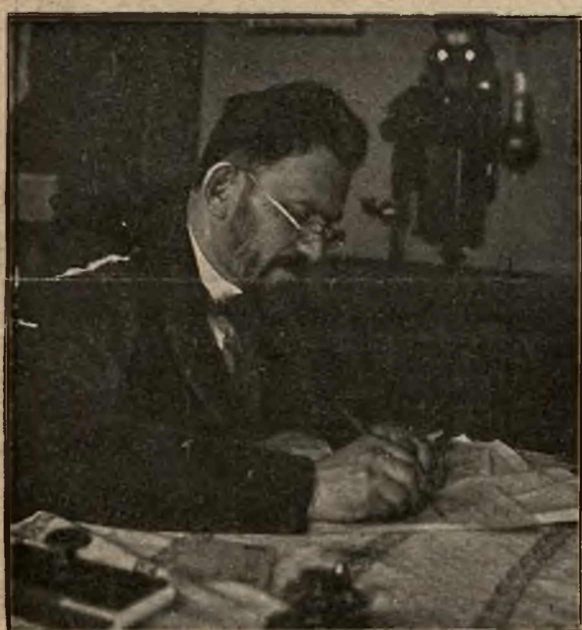
Ginący stary Kraków: Dom na rogu Rynku głównego i ulicy św. Jana, którego burzenie w tych dniach rozpoczęto.



Muzeum polskie na Ukrainie: Józef Wyleżyński, dziedzic Łosiejówki na Ukrainie, właściciel muzeów starożytności i sztuk pięknych oraz muzeum końskiego.



Echa głośnego procesu o mord rytualny w Kijowie: Beilis z rodziną we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

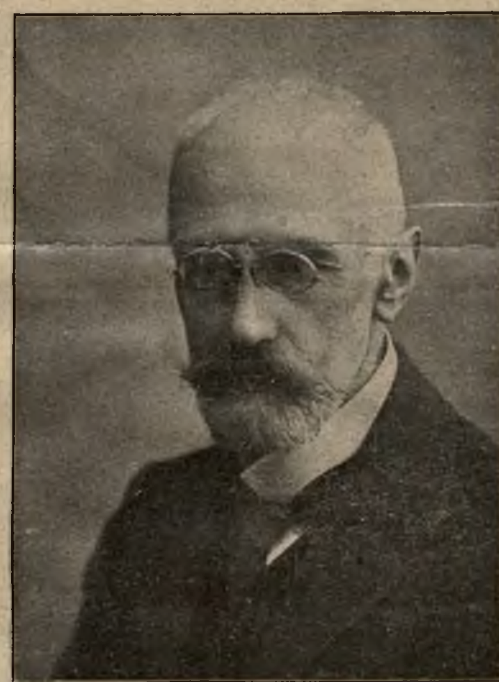


Echa głośnego procesu o mord rytualny w Kijowie: Uwolniony przez sąd kijowski Beilis podczas pobytu we Lwowie pisze swój pamiętnik więzienny.
(Fot M. Münz, Lwów)

Ale rzeczą zupełnie wyjątkową, mającą wszechświatowe znaczenie — jest „muzeum końskie" pana Józefa Wyleżyńskiego. Są tu: siodła i rzędy, które zdobiły niegdyś rumaki hetmanów i rycerzy polskich, są szable, karabele, ładownice, prochownice, szpicruty, batogi, harapy, nahaje, wędzidła, munsztuki, trendzle, napierśniki, czapraki, również wielka kolekcya strzemion, rogi myśliwskie, buławy i piernacze. Wspaniałe te zbiory mają kolosalną wprost wartość i stanowią całość imponującą. Do tej kolekcyi należą także dzwonki do zaprzęgów (w liczbie kilkuset) z różnych epok i z różnych krajów, oraz bogata biblioteka, poświęcona hippice, w głównych europejskich językach. Olbrzymi zbiór sztychów Karola i Horaycusza Vernetów i Adama, wyobrażających konie arabskie, francuskie i niemieckie — uzupełniają przepiękne to niezwykłe końskie muzeum.

Część swoich zbiorów, specyalnie tyczących się sportu końskiego, ofiarował świeżo p. Józef Wyleżyński — Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie. Od lata r. b. będzie je mogła podziwiać szeroka publiczność. W lecie roku ubiegłego muzeum końskie z Łosiejówki podziwiano w Kijowie na wystawie przemysłowo-rolniczej. Otrzymał za nie p. Józef Wyleżyński przyznanie wielkiego medalu złotego i znak honorowy, od departamentu hodowli koni dyplom honorowy.

Rzadkie i bogate zbiory łosiejowieckie zainteresowały już sportsmenów i zbieraczy angielskich i francuskich. Niewątpliwie nawet *par excellence* sportowy Londyn nie posiada tak świetnie usystematyzowanego muzeum końskiego, jak Łosiejówka. Należy się więc wdzięczność głęboka szanownemu dziedzicowi łosiejowieckiemu, że swoje zbiory, wartości przeszło 100 tysięcy rubli, ofiarował tak zasłużonej instytucyi, jak warszawskiemu Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych.



Zgon prezydenta lwowskiej Izby lekarskiej: Ś. p. dr. Edward Festenburg.





Łowy u hr. Maurycego Potockiego w Berezynie: (Fot. Saryusz-Wolski).
Hr. Maurycy Potocki przy zabitym łosiu. Ryś zabity przez Andrzeja hr. Morstina.

J. POWALSKI.

SZTANDARY KSIĘCIA JÓZEFA.

7

Leciał, i w rozszarpanych myślach, rozognionych znów nieprzytomną pożogą wściekłości i żalu, zamierzał skręcić ku Kraśnikowi, porwać Antosię, mimo wszystko, w imię prawa lepszego, niż wszystkie śluby. Czuł je w sobie, to prawo, powszechne jak ziemia, jak wiatr, jak krew w żyłach. Antosia jest ich, i musi ją ocalić. I zrywał konia ze wściekłością w huczącej głowie, gdy błyskała mu myśl, że już jej nie ocali, że zapóźno — i że jest ten ślub, ten ślub, który rozstrzygnął...

Lecieli tak ze dwie mile. Wtedy począł go nabiegać krwawiący spokój. Jeszcze rzucał się, jak raniony jeleń, gdy mu wracała nawałnica pierwszej chwili, gdy wspominał ojca. Ale ogarniał się, brał w wodze. Liczył, co można zrobić. Wstały sprawy wojska, sprawy długu...

Minęli drogę ku Kraśnikowi, i niespiesznym truchtem, by nie zgonić koni, jechali dalej i dalej, gubiąc się w zielonym kraju, na piaszczystej drodze, w dalekości.

VIII

Tłumy cisnęły się na placu Saskim, w śmiejącej się jasności majowego poranku. Karmiona uniesieniami ostatnich miesięcy publiczność przyszła żegnać z wylaniem, z zapałem i ze łzami, wyruszające dziś na wyprawę moskiewską pułki.

Kapitan Kleszewski stał na koniu przy swojej kompanii, przy działach połyskujących w słońcu, kiesonach, zaprzęgach. Zielone mundury, czerwone epolety, czerwone pióra na kaszkietach kanonierów, przetykały szczęśliwym kontrastem barw lśniące gniade i siwe maści koni. Konie parskały po zaprzęgach, biły kopytami od much, rzucały głowami. Zieloni kanonierzy stali w uroczystej i wzorowej nieruchomości. Patrząc z konia, wyniesiony nad kolorowy łan pułków, spoglądał młodzieniec ku granatowej masie piechoty, mieniącej się białością pasów i spodni.

Przydzielony był pod szefem Uszyńskim do dywizji generała Kamienieckiego, tworzącej wraz z dywizjami Zajączka jedną a Dąbrowskiego drugą, piąty korpus wielkiej armji, pod naczelnem dowództwem księcia Poniatowskiego.

Dalej, wzdłuż pałaców, stłoczona publiczność stanowiła tło w cieniu budynków dla zalanej słońcem świetnej barwności wojska. Dzięki bystremu wzrokowi odróżniał wśród niej poruszenia podniesionego tłumu, miganie białych chustek, kapeluszów, strojów jaśniejszych. Upatrywał ojca, który odwiózł Józia do szkoły, i dotąd był w Warszawie, przygotowując przeniesienie się rodziny do miasta. Nie widział go.

Wtem ogromny okrzyk powitał przybywający sztab generalny z księciem Poniatowskim na czele. Wbiegłszy na miejsce obok trybun senatorskich, sztab ustawił się. Lśnił zdala srebrem szlif, haftów, galonów, granatem i karmazynem ubrań, bogactwem końskich ozdób. Poruszał się i chwiał w miejscu od skoków i stąpania pysznych koni, niecierpliwiących się pod strojnymi jeźdźcami. Obok zasiadał senat, władze wszelkie.

Uroczystość miała zacząć się przemową księcia, i skończyć odebraniem sztandarów pułkowych przez przedstawicieli pułków. Jakoż książę wystąpił przed wojsko. Był na karym koniu, lekkim, wspaniałym. Zaczął mówić.

Wiatr donosił niektóre słowa, inne topniały w szmerze zebranych tysięcy. Skupienie wojska, jego cichość, zlanie się jego jakby w jedną istotę, czującą ogromnem sercem i oddychającą piersią, ogarnęło wszystkich. Kapitan Kleszewski był już pod czarem. Wspomniały mu się chwile, gdy stał przed ruszeniem w bitwę, czekając komendy rzucenia się w ogień. Wspomniał mu się rzut naprzód, rozkosz pędu wśród gorącego świstu kul i dymu rozwiewającego się i buchającego co chwila. Rzeźwa dzielność fizyczna skrzepła w nim na nowe koleje. Tęsknie westchnął i uśmiechnął się, jakby się budził. Uświadomił sobie dokładniej, że oto żegna go, ich wszystkich, stara stolica, serce czujące Polski, Polska sama. Żegna i posyła na bój za nią. Nie robił w duszy przysięgi, tylko rozżarzała mu się, jak o wschodzie słońca w Modlinie.

Książę mówił:

— ..... przechodząc granice Księstwa, wstępujecie nie na ziemię obcą, ale polską. Nieście oręż mściwy nieprzyjaciołom, opiekuńczy współziomkom. Idziemy nie podbijać, lecz oswobadzać.

Słuchała go olbrzymia, cicha istota. On mówił, jak nauczyciel. Od niego dostawali w słowach to, co mieli w sercu.

— Kto to skupił i trzyma?—myślał Kleszewski.— Dlaczego tu są? Żołd? Nie byliby tacy jak oto stoją i słuchają, podniesieni i wyprostowani, jak do czytania ewangelji w kościele. Tylko duch jeden i najsłodsze imię ojczyzny.

Nieznane wzruszenie ogarnęło go, gdy znajdował tej braci tak wiele, jednego chcącej, jedno kochającej, i gotowej na wszystko dla tej samej sprawy. Teraz książę skończył mówić. Powstał ruch, i wszystko podniosło się, by widzieć. To przedstawiciele pułków szli po orły.

Były to te, które poświęcono w 1807 roku. Odebrali je w milczeniu. Widomy znak wyjścia na wojnę, gdy się te ptaki wracały do pułków. Na drzewcach figura orła srebrnego, pod nią tabliczka z numerem pułku, i zwieszona chorągiew czerwona z białym orłem. Te symbole honoru pułkowego oddane w ręce orłowych, ruszyły ku pułkom. Szeregi poruszyły się jeszcze. Było coś na kształt zamieszania moralnego, gdyż cała uwaga żołnierzy z komendantów przeszła na orły. Ale w tejże chwili od czoła padła komenda, warknął nagle bęben jeden, drugi. Jednolite ciało pierwszego z pułków zmieniło się, wydłużyło, podzieliło, ruszyło. Migać poczęły, mieniąc się w marszu, białonogie szeregi piechoty. Z tłumu wybuchł zgiełk nagły, jakby zmieszane szlochania, okrzyki, jęki. Zgłuszył je grzmiący okrzyk wzniesiony na cześć księcia, gdy mijały go idące szeregi.

Ta sama komenda powtarzała się teraz regularnie, i kompania ruszała za kompanią, batalion za batalionem. Każdy żegnał okrzykiem księcia, mijając. Ten stał i patrzył. W tym ruchu regularnym, w tem opróżnianiu się placu, było coś żałobnego, podobieństwo jakieś do wiecznego rozstania. Chłodna myśl o bliskiem przeznaczeniu tylu i tylu z pośród tych jeszcze dziś żywych, jeszcze mogących być wróconymi, zatrzymanymi — dotknęła zebranych widzów.

A ci szli i odchodzili spełniał się nad nimi los niewiadomy.

Teraz przyszła kolej na artylerję. Kapitan Kleszewski rzucał bacznem okiem na swoje działa, połyskujące w majowem słońcu, wśród nieruchomo stojących ludzi i koni. W odpowiednim momencie powtórzył komendę, za nim porucznicy.

Szczerknęły łańcuchy, zatupotały kopyta, naprężyły się konie, armaty ruszyły jedna po drugiej. Teraz rzewne wybuchy publiczności, jej jęk zgiełkliwy, jego się tyczyły i jego żołnierzy. Uważał głównie na trzecie działo, którego najmniej był pewny, z powodu koni niedawno zmienionych i dzikich. Starzy kanonierzy, żołnierze doświadczeni, pilnie przy tem dziale czuwali.

Gdy odwracał od niego wzrok, wpadały mu w oczy zapłakane twarze kobiet, odkryte głowy mężczyzn i zachwycone i rozbiegane figurki małych łobuzów i uliczników. Powiewały chustki, kapelusze, biegły i prześcigały się okrzyki. Życzono im zwycięstwa, polecano Bogu, żegnano łzawo.

— Przywieziemy wam wolność — obiecywał im Kleszewski w duszy, przechodząc ich ostatniem spojrzeniem. Starał się zatrzymać wszystko w pamięci: tak było, gdyśmy wyjeżdżali. Obejmował dachy z dymionej dachówki, niebo błękitne, kolumny pałaców, okna pełne twarzy. Serce ścisnęło mu się, wbrew woli, jakby całkiem po za nim. Myślał:

— Żegnajcie. Żegnaj, ojczyzno!

I czuł w tem coś rozdzierającego. Przyszło mu na myśl, że może to przeczucie śmierci. To go natychmiast wypogodziło, wróciło mu junactwo. Wprawiał się przecież w jej pogardę nie od dziś. Z dziarską dumą podniósł rękę do salutowania księcia.

— Niech żyyyje! — krzyczało wojsko. Książę przyłożył rękę do rogatej czapki. Kobiety płakały.

Skręcili na Krakowskie Przedmieście, którem schodzili w dół ku Zjazdowi, na Pragę, w drodze na północ. Tesame tłumy pod kamienicami i w oknach, stłoczone, uniesione. Armaty w tym wąwozie kamienic dudniały wzmożonym hurkotem. Krzyki publiczności inaczej też brzmiały, uwięzione w murach. Gdzieś z przodu idące szeregi zaczęły śpiewać pieśń Dąbrowskiego. Dobiegała niewyraźnie, wśród zgiełku. Potem podjęli ją najbliżsi, aż runęła ze wszystkich piersi:

Jak Czarniecki do Poznania,
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz Dąbrowski.....

Kleszewskiemu serce tłukło się radośnie, duma rozsadzała piersi. Pieśń wzięła w siebie, związała w swój rytm wszystkie ruchy. Śpiewał ją krok żołnierzy, marsz miarowy, bijące tętna, rozpalone serca.

W przejściu, we facjatowem oknie mignął kapitanowi jakiś staruszek wysuszony i drżący, który im błogosławił z góry ze śmiejącą się twarzą, z której leciały łzy. Kobiety w żałobie, duszące chustką łkania, inne wychylone, bez tchu, w rumieńcach, w uniesieniu. Pieśń grzmiała zwycięstwem;

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz Dąbrowski.....

— Jeśli się to stanie — ślubował sobie nagle Kleszewski z głębi duszy — jeśli się stanie — niech zginę ja, niech zginiemy wszyscy, byle ona wstała i była.

Armaty zjechały na most. Za nimi została stara Warszawa spiętrzona, wysoka, dumna, jak wdowa, która wysłała swe dzieci, na daleką, świętą krucyatę.

IX.

Jedyną myślą Ignacego był pośpiech i znalezienie się wraz z działami na pozycji.

Armia przechodziła Berezynę.

Wśród straszliwego zamętu, gwałtu, przepierając się przez nawał ludzi, zagmatwanie bryk i furgonów, szalony jakiś i bezrozumny ścisk roztopionej i rozwiązanej w zdziczałe kupy armii, darł się z końmi i armatami naprzód, grzęznąc w rozrobionej na kaszę ziemi ze śniegiem, w której konie pracowały krwawo, brnąc po brzuchy, dymiąc rozdzierającem płuca sapaniem, robiąc bokami jak w przedśmiertnym wysiłku, ostatnim, najcięższym. Kanonierzy i żołnierze, wszyscy podpierali ze wszech stron, gdzie się który mógł doczepić, rękoma podobnemi do jakichś łap z żelaza, wpadając w jamy, gramoląc się spiesznie i pilnie, i znów, sunąc wciąż naprzód, poprzez płynące i płynące i zawalające wszystko wokoło nich, w każdą stronę, rozwiązane dawno z wszelkiego ładu wojsko. Wciągnęli się na jakieś gliniaste wywyższenie, obmazani, niepodobni do ludzi. Walili prosto w las, gdzie mieli ustawić się w gąszczu.

Ignacy miał pod sobą cisawego konia, który wytrzymał i przeszedł drogę z Warszawy do Moskwy i z Moskwy aż tutaj. Naglił go odruchowo i ustawicznie ruchem prawej łydki. Spozierał w prawo, gdzie ciągnęła się drogą przez błota, groble i mosty armia, treny, furgony, nieszkończona rzesza maroderów, zbójów wszelkiego rodzaju. W lewo były wysokie bory, przez nie trakt bity do Mińska. Wiedział to z planów, które wczoraj oglądał w sztabie, wypadkiem. Nie widać było nic, poprzez pnie drzew, rojące się i zastępujące wokół drogę, topiące się we mgle i gęstym dymie z dział, których huku już prawie nie słyszał, gdyż grzmiały od świtu, jak i cały dzień poprzedni, prawie bez przerwy, z obu stron.

Dostrzegł, że szef Uszyński coś ku niemu krzyczy. Nie słyszał. Ruszył ku niemu koniem. Odrazu zapadł się w jakąś jamę zakrytą śniegiem. Koń strudzony wylazł z niej stękając.

Uszyński był na krępym mierzynku, chudym, zmierzwionym, obojętnym, obracającym się automatycznie, gdzie go skręcił. Krzyczał wskazując szablą, rozkazując Ignacemu rozpocząć ogień, natychmiast. Ignacy ściągnąwszy konia, który zdarł głowę, patrzył na szefa z umyślnem osłupieniem: odrazu strzelać? Przecież absolutnie niewiadomo w lesie i we mgle w jakim kierunku robi obroty nieprzyjaciel, ani jak popierać swoich. Na te słowa, spokojnie wykrzyczane wśród huku ustawicznego dział i bliskich rumorów sprawianych po lesie przez kule i granaty, odkrzyczał mu Uszyński, klnąc na odmiany z informacyami, żeby do króćset zaczynał, gdyż musi wesprzeć piechotę, pułk Blummera idący do ataku.

Kanonierzy tymczasem zawrócili spiesznie zaprzęgami, już odczepiono dymiące i zbite konie, już odwrócono, nabito, przygotowano do strzału armaty.

Ignacy zsunął się z konia, którego pochwycił uważny Ptyś. Nastawił działo z kompletną pewnością że nic nie sprawi. Buchnął strzał, Ignacy znalazł się przy drugiem dziale. Tu majstrował mianowany od dwu tygodni młodziuchny porucznik Straszewicz. Szamotał się, tłumacząc coś z największą szczerością wśród huku. Ignacy go szorstko odepchnął, żując w zębach przekleństwa: szczeniak! było w domu siedzieć!

Zaczęła się kanonada regularna. Obrócił się, co robi Uszyński: ujrzał spieszających się skwapliwie

przez śniegiem zawalone kłody i jamy lasu kilku sztabowców, oficerów i żołnierzy w kupce: nieśli rannego. Od nich dobiegł adjutant:

— Konia! noszów!

— Kto ranny? — spytał ignacy.

— Jenerał Zajączek, nogę mu zgruchotało.

Ignacy obrócił się ku Ptysiowi — tamci już przeszli, o nic nie pytając, adjutant pogonił za nimi.

— Kto obejmie komendę nad korpusem? — krzyknął Ignacy ku Uszyńskiemu.

Uszyński nie słyszał, Ignacy nie zwrócił na siebie jego uwagi. Przejęło go znów zimno tak lodowate i tak zdradziecko w głąb sięgające aż do trzewiów, że zatulając się usilnie w kubrak, zwrócił się do dział. Miał ich teraz tylko trzy. Ale tamte nie były stracone w boju ani porzucone w błocie i topielach drogi: w Krasnem nakazano korpusowi piątemu oddać polową swych dział korpusowi króla włoskiego, Eugeniusza Beauharnais.

Przez las przesypała się jakaś kompania piechoty, potem druga, trzecia, idąc do ataku. I nagle, granaty i kule, które dotąd trzaskały i obijały konary z drzew opodal, przeniosły się jak deszcz ulewny bliżej, objęły stanowisko artyleryi. Wśród huku nieustannego przybył nieznośny trzask i łomot oblatujących konarów i gałęzi i łoskot walących się, gruchotanych pni. Ignacy krzyczał komendę zdzierając bezkutecznie gardło: nikt go nie słyszał. Pochwyciwszy opieszałego żołnierza trząsł nim: nagle huk ogłuszający, blask, pchnięcie straszliwe cisnęło go gdzieś w dół. Zakotłowały się oszalałe konie, zrywając się dęba w powietrze. Z rzuconych o ziemię ludzi zaraz porwali się ci i owi i rzucili ku działom i jaszczykom do pracy, niektórzy jeszcze zataczając się po ogłuszeniu, okrwawieni. W ryk i gromy walki wmieszało się nieustanne jęczenie, wrzaski bólu tych, co zostali na ziemi. Ignacy w ciszy, która go nagle ogarnęła i w miłym spoczynku bezwładnego leżenia, zaczął jak daleki szum chwytać walenie się armatnich strzałów, jęki, łomoty, drżenie ziemi. I nagle ocknął się: uczuł na twarzy zimno śniegu, w którym leżał, zerwał się, zatoczył, i zapalczywie począł piąć się ku stanowisku dział.

— Ogłuszyło mnie — myślał, czując jednocześnie, że mu nic nie jest. Jednakże było mu coś, gdyż po chwili znów się ocknął w śniegu, z posmakiem jakby długiego snu, i wielką ochotą do nieprzerywania go jeszcze. Jednakże przyskoczył któryś żołnierz pomódz mu wstać. Wobec tego dźwignął się. Trochę jeszcze ogłuszony od uderzenia wrócił do dział. Zorjentował się, że strzelają teraz na upartego, ciągle, równo, regularnie. Wyszło to na funkcyę jakąś prostą i naturalną, tok życia niejako, robiło się samo. Od rana nic nie mieli w ustach. Czasem szmat jakiejś krótkiej myśli przewijał mu się przez głowę: takto, Francuzi sobie uchodzą, rozłożą się dalej obozem, a oni tu będą ich zakrywać aż do nocy. Szarpał się: żeby choć iść do ataku odrazu choć w najgorszy ogień! A nie tak na ślepo walić.

Przyjechał pułkownik Redel. Chwalił i zagrzewał żołnierza, czego można było się domyślić z wyrazu twarzy i ruchu ust. Słychać nic nie było. Przyzwał kapitana Kleszewskiego do siebie, spytał o jaszczyki.

Usłyszawszy, że mają amunicyi dosyć, ruszył.

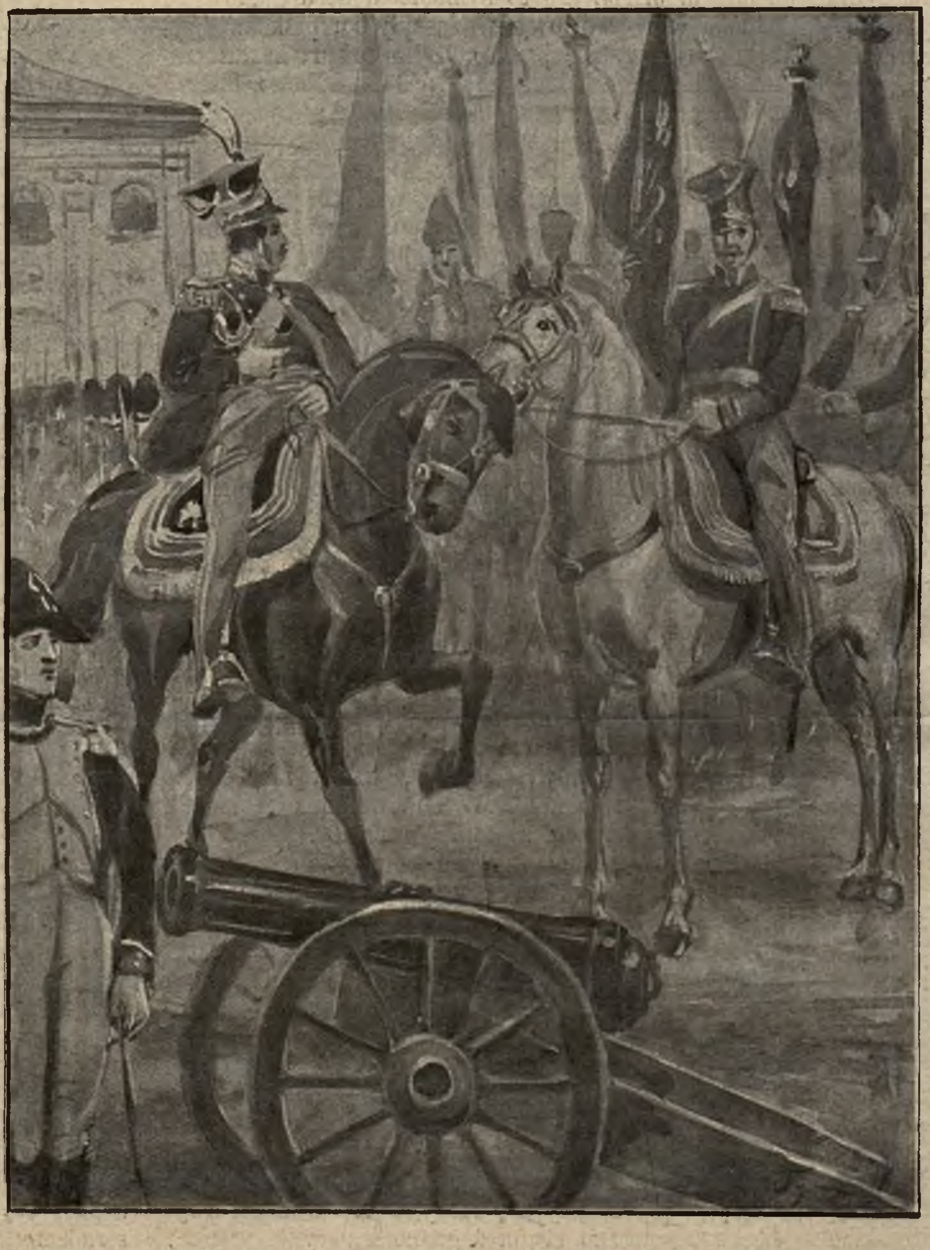
— Panie pułkowniku! — zawołał Ignacy.

— Czego?

— Żołnierze nic nie jedli od rana! Gdyby można....

Dalsze słowa zginęły w huku walącego się drzewa, ściętego w połowie wysokości kulą działową. Przygniotło żołnierza jak robaka, za głowę. Chwilę rzucał nogami, potem przestał. Ignacy patrzał na pułkownika. Ten ruszył szablą, którą trzymał opuszczoną jak szpicrutę, i uśmiechnął się niewyraźnie, potem zgryźliwie machnąwszy ręką, ruszył dalej, na ostrożnie stąpającym koniu.

— Pies! — pomyślał Ignacy z zadowoleniem, że może sobie sprawić ulgę. Wszelkie inne sposoby oceny znakomicie wygładziło zmęczenie śmiertelne, głód i zimno. Znękanem ciałem żądał każdy jedynie



To to symbo'e hono:u pułkowego, oddane w ręce orłowych, ruszyły ku pułkom.

jedzenia, ciepła, spania. Cóż reszta? Co może obchodzić reszta? Wrócił do armat.

Strzelali ciągle taksamo. Przybywali ranni, którzy gramolili się prosto przed siebie.

— Cała dywizya Dąbrowskiego stoi pod bronią, — mówili, — nieprzyjaciela nie widzi, tylko w miejscu ginie pod kulami i granatami i od walących się połupanych drzew. Zasłania artylerye i cofanie się armii, ale sama padnie.

Ignacy słuchał chwilami. Kanonierzy w krótkich przerwach od strzału do strzału dowiadywali się nowin. Spluwali: Tfu! I warto to! Tyle dobrego żołnierza!

I wracali w automatycznej kolei do dział. Kompania zlała się w jeden organizm, w którym pracowali ludzie, a działa były organami czynności na zewnątrz. Ignacy czuł niemylnie po ruchach, po nieuchwytnych niemal zmianach w szybkości działania, zniechęcenie zmęczonego żołnierza. Kiedyindziej wpadłby z krzykiem, łajałby, wydarł z nich rączość, ochotę, sprawność. Ale jego samego zdejmowała chwilami rozpacz. Zadługo trwały straszliwe klęski, okropna nędza armii, rozprzężenie powszechne, bieda, zimno, głód, ostatnie zmęczenie. Przychodziła jakaś głucha pokusa rzucenia wszystkiego, dostania się w niewolę albo też zlania się z bezimiennym tłumem maroderów. Wówczas „nic dziwił się“ tym, co to zrobili. Ale takie pomysły były chorobą, i wcale nie wchodziły w grę. Jeszcze zaciekłejsza stawała się wola wytrwania, czystego doniesienia swego sumienia żołnierskiego do ojczyzny.

— Nie my to złamiemy kadry — myślał, jakby chciał czyjąś ufność upewnić. —

— Nie my to rozsypiemy nasze wojsko.

I znowu porywała go rozpacz:

— Na co, po co? Co teraz będzie?

Dławił ją, starał się myśleć płytko, ostro, po żołniersku: Nie damy się. Jakoś to będzie.

I rzucał się ożywić strzelanie. Miało ono popierać ruchy piechoty. Tymczasem piechota stała pod ogniem nieprzyjacielskim. Chwytała go chęć płaczu albo śmiechu.

Mróz stawał się coraz tęższy. Kanonierzy wierzchem czarnych rąk ocierali łzy szklące im oczy. Twarze brzękły, szron chrzęścił na wąsach, na włosach. Ale natężona robota koło dział wciągała i trzymała całą uwagę. Głód i mróz były jak poboczna rana, o której się na razie nie pamięta. Dzień od zimna jakby oszadział, pomroczniał, stężał, zeskorupił się zwolna w zmierzch. Wtedy kazano schodzić z pozycyi.

Skoro przyszło się ruszyć, żołnierz, mając noc i odpoczynek w perspektywie, odrazu wrócił do swych ran, głodu, zziębnięcia, nędzy. Ignacy udawał, że nie widzi, jak ten i ów poległym czy też rannym ściąga buty, szmaty. Niektórzy z leżących jęczeli jeszcze w śniegu, inni już pomilkli. Prawie połowa kompanii ubyła.

Ruszyli spuszczając się ku drodze, po niemożliwych jamach, kłodach i zaspach leśnych. Trakt miński był prawie pusty. Tu i ówdzie trupy, czarne łachy na śniegu. Bateryе nieprzyjacielskie jeszcze nie umilkły. Raz wraz ciężkie armatnie kule przeskakiwały przez trakt, padały granaty. Chętnie minęliby trakt wzdłuż lasem, wydawało się to bezpieczniejszem. Okazało się to niemożliwe, zjechali na środek. Droga w porównaniu z poprzednią była wyborną, armaty jechały gładko, równo, prawie bez wybojów. Naglili konie. Ignacy trzymał się z tyłu, pilnując ładu. Usłyszał pęd, uderzenie kuli nieopodal, potem rzuciło go w górę, razem z koniem. Wstał oszołomiony probując rąk, nóg, nic... Na ręce mała rana, od jakiejś gałęzi ostrej, na którą padł.

— Drugi raz mnie mija — pomyślał z satysfakcyą.

Macał się jeszcze. Całe lędźwie, kolana, miał ciepłe i lepkie, najwidoczniej od krwi. Dorozumiewał się, że granat musiał zabić konia: natrafił też na jego trupa nogami. Pożałował go. Obejrzał się zaraz za swym oddziałem: znikł w ciemności.

— Zlękli się — pomyślał — i pomknęli.

Puścił się żywo bokiem traktu za nimi. Jednakże, czy to, że w upadku stracił poczucie strony, w którą go rzuciło, czy też ogólną orjentacyę kierunku, dość, że po mozolnej wędrówce, zauważył że brnie w śnieg coraz mniej zjeżdżony, i że droga nieznacznie podnosi się w górę. Nie było się co łudzić, nadaremnie tylko czas stracił. Trzeba było wracać, i to co żywo.

Uświadomił sobie bliskość nieprzyjaciela, kozaków, czających się wszędzie wokół armii i zabijających kogo dopaść mogli bez niebezpieczeństwa. Przeskoczył głęboki rów w lesie, kierując się w stronę drogi wielkiej armii.

Szedł spiesznie, mimo śmiertelnego zmęczenia, które go ogarniało. Rzeźwił się z niego przemocą, usilnie zważając na dalekie odgłosy, jakieś echa, ślady łun, które powinny były prostą drogą doprowadzić go do ludzi. Porywał go bezsilny gniew na podkomendnych, którzy tak się pospieszyli z ucieczką. Wymyślał im nawpół głośno, nawpół w duchu. Naraz stanał: zdawało mu się, że coś słyszy.

Wokoło był las głęboki, sosnowy. Wysokie drzewa rozstawione swobodnie, między niemi czarne korowody zarośli. Księżyc wysoko na niebie wynurzał się w okręgu siwych chmur, z obręczą rozpływającą się, rudo-burą, zamykając ich jasność, w której sunęły i sunęły, i nikły poza rudym pierścieniem, jak postaci przechodzące za oknem.

Ignacy stał w śniegu, nasłuchując czujnie. Słyszał dzwonienie w uszach, w głowie bezsensowe powtórzenie gromów dnia: strzały, krzyki, gruchot gałęzi, stękanie koni, rozmowy krótkie a gwałtowne, jęki i huk nieustanny armat. Pozatem słyszał ciszę lasu, jak spokojny mrok, rzucony na zrącą gorączkę dnia.

Wtem ozwał się ruch, szum głęboki: wiatr przeszedł szczytami wysokich choin. Ignacy ruszył dalej. To, co go otaczało, stawało mu się śmiertelnie obojętne, niewymownie obce. Armja, obóz, artylerja dywizyi wraz z jego kompanią, zacierały się, jakby ich istnienie było przykrą nowiną, którą jednakże nie ma potrzeby zbyt się przejmować. Zostawało tylko czucie mrozu, głodu i nieprzepartej chęci snu, chęci położenia się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia młodzieży na prowincyi.

Do bardzo pożądanych środków pedagogicznych, łączących „przyjemne z pożytecznem“, należą niewątpliwie przedstawienia szkolne. Z wielkiem powodzeniem urządzono takie przedstawienie w Mielcu, gdzie uczniowie gimnazyum odegrali „Jasełka“ według tekstu, ułożonego z rozmaitych źródeł przez prof. J. Orzecha, który też dodał akompaniament orkiestralny do śpiewów solowych i czterogłosowych. Treść powszechnie znana przedstawiała nocny obóz pasterzy, zjawienie się Aniołów, drogę pasterzy do Betlejem, dwór króla Heroda i przybycie Trzech Królów, wreszcie hołd pasterzy i Trzech Królów w stajence betlejemskiej.

Uczniowie wywiązali się z zadania doskonale. Gra sceniczna, śpiewy i muzyka były bez zarzutu i uczyniły silne wrażenie na słuchaczach. Wrażenie to potęgowały i dodawały krasy barwne stroje.



Niespodzianki zimy: Domy w d'Argentière (Francya), zasypane na trzy metry śniegiem.

Z żałobnej karty.

Nieubłagana ręka losu przecina nieraz najbujniejsze życie właśnie w chwili, kiedy wydaje się, iż zaczyna ono dosięgać pełni swego rozwoju. Z Zakopanego nadeszła przed kilku dniami wiadomość, iż zmarł tam w młodym wieku, gdyż zaledwie 24 lat liczący, poeta Ludwik Marja Staff. Brat poety Leopolda Staffa, rokował wielkie nadzieje. Po kilkuletnich studyach z zakresu sztuki na uniwersytecie lwowskim, poświęcił się pracy literackiej, a nowele jego i liryki, ogłaszane pod pseudonimem Jana Strzemię, zwróciły nań uwagę krytyki i wzbudziły żywe zainteresowanie się młodym talentem.

Silnie zwłaszcza zabłysnął jego talent w dłuższej powieści p. t. „Grzeszne gołębie“. Zgasł w pełni rozwoju.

Ciało zmarłego zostało przewiezione do Lwowa, gdzie przed kilku dniami odbył się pogrzeb.



Z żałobnej karty: Ś. p. Ludwik Staff.



Na usługach hakatystów: Głośny z rewelacyi redaktora Krysiaka ks. Hanvckyj, proboszcz ruski w Rudnie pod Lwowem.



Niespodzianki zimy: Olbrzymie śniegi spadły nawet we Francyi.

Niespodzianki zimy.

Miło jest siedzieć w zacisznej izbie, przy trzaskającym kominku i słuchać opowiadań o tem, jak w rozmaitych stronach świata sroży się zima. Tego roku wprawdzie krótko panowała, ale za to dała się ludziom dosyć we znaki.

Dzienniki doniosły, że w Tryeście wiatr „bora“, pędzący z szybkością 85 km na godzinę, przyniósł tam tumany suchego śniegu, tworząc wielkie zaspy. W Nowym Yorku temperatura obniżyła się do 22 stopni mrozu; w White River w stanie Ontario termometr spadł nawet do — 42° C.

Także Belgia i Holandya ucierpiały tego roku silnie przez mrozy. Wszystkie rzeki i kanały po-



Z życia młodzieży na prowincyi: Przedstawienie „Jasełek“ w Mielcu. (Fot. A. Jaderny, Mielec).

kryły się lodem, zmuszając rybaków do przymusowego bezrobocia. Holenderskie plantacye tulipanów zostały zniszczone. Podobnie wskutek śniegów i zimna ucierpiały ogromnie ogrody kwiatowe na Riwierze. Ogrody te zaopatrują w kwiecie wszystkie większe miasta Europy, a zniszczenie ich wskutek zimy wywołało podrożenie kwiatów.

Wogóle w tym roku zima zgotowała srogą niespodziankę tym krajom, gdzie jest rzadkim gościem.



Pożar w warszawskim hotelu „Bristol": Sikawka parowa tłoczy wodę na 7 piętro.

Tak n. p. we Francyi spadły tak olbrzymie śniegi, jakich tam ludzie nie pamiętają.

U nas zima mroźna i sucha, choć prawie bez śniegu, trzyma się dosyć dobrze. Powiada jednak przysłowie, że od ruskiego Jordanu mróz się kończy. O ile tego roku się ono sprawdzi, za kilka tygodni zaczniemy marzyć o wiośnie.

Pożar w warszawskim hotelu „Bristol".

Przed kilku dniami Warszawę zaalarmowały olbrzymie słupy dymu wydobywające się z gmachu hotelu „Bristol" na Krak. Przedmieściu. Ogień ukazał się na szczytach środkowej części oficyny hotelu. Przypuszczano pierwotnie, że palą się sadze w kominie. Kiedy jednak nadjechała wezwana straż ogniowa, okazało się, że ogień objął część strychów.

Z powodu siedmio-piętrowej wysokości budynku ratunek był bardzo utrudniony, gdyż hydranty miejskie nie wyrzucają wody tak wysoko.

Płomienienie wybuchnąwszy na zewnątrz, szerzyły się z całą gwałtownością. Wreszcie przybyłym czterem oddziałom straży pożarnej udało się ogień zlokalizować po kilku godzinach wytężonej pracy.

Szkody w urządzeniu hotelowem i zniszczeniu budynku wynoszą około 30 tysięcy rubli.

Wybuch gazu we Lwowie.

Lekomyślność, czy też rozmyślna złośliwość spowodowała we Lwowie przed kilku dniami wybuch gazu świetlnego, który poranił sześć osób. Niewyśledzeni sprawcy wykręcili kurek głównej odnogi rury gazowej w domu przy ul. Panieńskiej l. 9. Rura ta doprowadzała gaz do pracowni ślusarskiej p. M. Neua.

Ulatujący szybko gaz wypełnił sąsiednią kuchnię i dostał się do położonego obok niej pokoju, w którym paliła się lampa, a zetknięcie się gazu z płomieniem wywołało straszną eksplozyę. Siła jej była tak wielka, że zburzyła trzy ściany sąsiednich mieszkań oraz wybiła wszystkie szyby. Spadające gruzy i płomienie poraniły bawiące w chwili wybuchu w mieszkaniach osoby, mianowicie czworo dzieci i dwie służące. Najcięższe rany odniosła służąca Anyszewska i 9 letnia Salcia Sperling, które musiano odwieźć do szpitala.

Natychmiast wdrożono śledztwo za sprawcami katastrofy. Aresztowano dwie osoby, podejrzane o lekkomyślny figiel.

Echa głośnego procesu o mord rytualny w Kijowie.

Sprawa Bejlisa i rzekomego mordu rytualnego, dokonanego przez niego na osobie chłopca Juszczyńskiego w Kijowie, jeszcze ciągle zajmuje opinię publiczną. Sam proces wywołał szereg różnego rodzaju procesów prasowych i prywatnych, w których cała sprawa jest jeszcze mniej lub więcej dosadnie oświetlana.

Bohater procesu Bejlis opuścił wraz z rodziną Kijów i ruszył w świat. Ma on podobno zamiar wyjechać na stałe do Palestyny i tam osiąść. Tymczasem podróżuje po różnych miastach Europy, przyjmowauy wszędzie przez żydów bardzo uroczyście.

Przed kilku dniami przejeżdżał przez Kraków, a także zatrzymał się kilka dni we Lwowie. Naszemu korespodentowi udało się uzyskać fotografię Bejlisa wraz z rodziną. Fotografię tę zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Bejlis pisze obszerne pamiętniki, które nabyli amerykańscy wydawcy za grube pieniądze. Proponowano mu nawet tournee „artystyczno-kabaretowe" po Ameryce, ale na razie na taką manifestacyę się nie zgodził.

Za walkę z bandytą.

Lwów zaczyna w Galicyi „cieszyć się" odwiedzinami, coraz częściej się powtarzającymi, różnych bandytów, którzy przy odgłosie strzałów rewolwerowych uprawiają swoje rzemiosło.

Przed kilku dniami na ul. Nabielaka żołnierz policyjny Turkiewicz spotkał jakieś podejrzane indywiduum, niąsące tłomok rzeczy. Kiedy chciał go zatrzymać, złodziej zaczął uciekać. Turkiewicz puścił się za nim w pogoń, a wtedy badyta dobył rewolweru i strzelił kikakrotnie do goniącego go policyanta. Kula trafiła Turkiewicza w pachwinę, raniąc go poważnie. Mimo to odważny policyant, dobywszy



Za walkę z bandytą: Żołnierz policyi lwowskiej Jan Turkiewicz, udekorowany w szpitalu srebrnym krzyżem.

szabli, dopadł strzelającego i ciął go trzykrotnie, obezwładniając go w ten sposób.

Turkiewicz za bohaterski czyn został przez cesarza nagrodzony srebrnym krzyżem, a uroczystość wręczenia mu tej zaszczytnej odznaki odbyła się w szpitalu w obecności namiestnika i dyrektora policyi.

Zawody sportowe w Zakopanem.

Hygeniczne i przyjemne sporty zimowe coraz bardziej przyjmują się u nas, a naturalnym rzeczy biegiem obrały sobie za główną siedzibę perłę Tatr naszych, uroczą dolinę Zakopanego i zbocza otaczających je gór. Na ubiegłe dwa dni świąt, oraz poprzedzającą ją sobotę, zorganizowało Tatrzańskie Tow. Narciarzy tak zwane „główne zawody" — biegi narciarskie, bobsleighowe i saneczkowe.

Zawody te ściągnęły do Zakopanego bardzo znaczną liczbę publiczności, a udały się tem lepiej, że pogoda, ciepła i słoneczna, — aczkolwiek sportowo



Pożar w warszawskim hotelu „Bristol": Tłumy publiczności przyglądają się akcyi ratunkowej. (Fot. ... van Fuks, Warszawa).



Wybuch gazu we Lwowie: Wnętrze zburzonego wybuchem mieszkania przy ulicy Panieńskiej l. 9. (Fot. M. Münz, Lwów).

Zawody zimowo-sportowe w Zakopanem:



Skok z wielkiej odskoczni na Kalatówkach.

trochę niepomyślna, bo rozmiękczyła śnieg — dla widzów była bardzo zachęcająca.

Kto podążył do Zakopanego, aby przyjrzeć się zawodom, z pewnością ani na chwilę tego nie pożałował, — bo też było na co patrzeć i podziwiać!

Już wczesny ranek złocił szczyty gór prześlicznemi barwami, nęcąc swym blaskiem i urokiem każdego na prześliczną polanę górską, na Kalatówki, gdzie miały się odbyć zawody narciarskie. — To też droga do Kuźnic zaroiła się setkami sań, wiozących zawodników i gości do lasów i gór.

Szeroka polana Kalatówek witała gości bramą tryumfalną, śnieżnymi ołtarzykami, udekorowanymi purpurą i wesoło powiewającemi chorągiewkami. — Piękne, wygodne schronisko Tatrz. Tow. Nar. w otoczeniu lasu nart, sterczących dzióbami ku niebu, nęciło i zapraszało do siebie.

Nagle rozlega się elektryzujący wszystkich okrzyk: „skoki". Kierownik naczelny inż. Bobkowski, przepasany szarfą czerwoną, dąży ku ołtarzykom, które dla tylu widzów było zagadką. — Dwa długie rzędy widzów tworzą zwarty obustronny mur, — nad nimi zawisa nagle wysoko w powietrzu sylwetka narciarza w skoku. Dziwne uczucie dla widza, lecz po chwili narciarz brata się znów ze śniegiem — już sunie szalonym pędem w dół, a za nim grzmią gromkie brawa i radosne okrzyki widzów.

Trzeci dzień zawodów daje znowu inny obraz, inne wrażenia. — Start nowo zbudowanego toru



U startu toru bobsleighowego. (X) Kierownik zawodów inż. A. Bobkowski. (XX) Kierownik toru bobsleighowego p. Karol [illegible]

Zawody zimowo-sportowe w Zakopanem.















1. Ogólny widok Kalatówek (ze schroniskiem T. T. N. (X) podczas zawodów. 2. Uczniowie wojskowej wyższej szkoły realnej przed wyjściem do startu. 3. Upadek bobsleighu na krzywiźnie. 4. Meta. 5. U startu biegu płaskiego. 6. Wyścig sanek jednoosobowych. 7. Skok z odskoczni juniorów.

bobsleigh'owego gromadzi licznych zwolenników przystępnego dla wszystkich sportu saneczkowego. Wogóle trzeba stwierdzić, że wynik zawodów był niezwykle pomyślny i zaświadczył chlubnie o rozwoju u nas sportów zimowych. Jest to niewątpliwie zasługa niestrudzonej pracy organizatorów, a w pierwszyn rzędzie kierownika zawodów inż. Aleksandra Bobkowskiego.

Kronika tygodniowa.

Szanowny Czytelniku i Ty, nadobna Czytelniczko, (zachowuję porządek rodzajów według gramatyki ś. p. Małeckiego, która nie chce słyszeć o galanteryi dla płci pięknej!...) pozwólcie, że na wstępie pomieszczę kilka słów usprawiedliwienia.

Obecny czas jest tak bogaty w różne ważne, powiedzmy nawet epokowe zdarzenia, że po prostu zazdrości każdy kronikarzowi, iż ma o czem pisać.

Niestety, nie jest przecież tak wesoło, jakby kto może myślał, winę zaś ponosi nie kto inny, jak tylko panowie strejkujący zecerzy. Praca w drukarni musi być tak rozłożona ze względu na brak rąk, aby wszystko dało się załatwić w swoim czasie. Panem życia i śmierci każdego piszącego jest więc metrampaż, który powiada, iż ten lub ów artykuł ma być w drukarni w tym lub owym dniu, a od tego wyroku niema absolutnie odwołania. Tak zresztą dzieje się zawsze w czasie wojennym.

Z tego powodu niżej niepodpisanemu kronikarzowi polecono, aby na piątek miał gotową pracę, w przeciwnym razie może sobie ją schować i ewentualnie użyć na podpałkę w piecu, jeśli wogóle pozwala sobie jeszcze na takie zbytki.

A proszę sobie wyobrazić, ile to czasu upłynie od piątku do czwartku, to jest do dnia ukazania się „Nowości illustrowanych" na mieście, co tymczasem może zajść, ilu ministrów może powiększyć szeregi emerytów!

W tak miłem położeniu jest biedny kronikarz!

W chwili, gdy zaczynam niniejszą kronikę, we Lwowie toczą się obrady nad reformą wyborczą do sejmu krajowego, zanim zaś ją ukończę, zecer złoży, a maszyna odbije, tymczasem przyjdzie chyba do porozumienia, zwłaszcza, że Rusini, jak to przewidywałem, okazują chęć do zgody, przyjmują procentowy stosunek foteli w Wydziale krajowym i liczbę dwumandatowych okręgów, żądają tylko zapewnienia, że Polacy nie będą przeszkadzać w utworzeniu rusko-ukraińskiego uniwersytetu i to w jak najkrótszym już czasie, gdyż kandydatów na katedry jest całe zatrzęsienie, a szkoda, by się mieli marnować.

Na takie *junctim* Polacy się nie godzą, mimo to jednak „Neue Freie Presse", która w sprawach galicyjskich jest zwykle dobrze poinformowaną, uważa rozwiązanie kwestyi galicyjskiej reformy wyborczej niemal za zapewnione i sądzi, że wypadek ten będzie miał bardzo doniosłe następstwa dla ogólnej polityki wewnętrznej monarchii.

I ja jestem tego samego zdania i nawet zawczasu składam z tego powodu gratulacye pp. Korytowskiemu, Gołuchowskiemu i Szeptyckiemu, którzy przyczynili się do szczęśliwego rozwiązania, nie wątpię bowiem, iż do czwartku przyszłego nowo rodek ujrzy już światło dzienne.

C. k. urzędnicy państwowi w siódmem niebie, pragmatyka służbowa zyskała już sankcyę najwyższą i w najbliższym czasie zostanie wprowadzoną w życie, każdy z nich, zamiast urzędować, oblicza z ołówkiem w ręku, ile też zyska. Zacierają także ręce kupcy, nadarza się bowiem doskonała sposobność do podniesienia cen.

To jednak ciekawe, że, ilekroć nastąpi poprawa bytu materyalnego, czy to urzędników, czy też innych jakich pracowników, kupcy i przemysłowcy nie zapomną nigdy skorzystać ze sposobności, wychodząc ze słusznej zasady: jeśli narodek ma grajcary, niech płaci!

Innemi mówiąc słowy, po wprowadzeniu pragmatyki zwiększą się dochody urzędników, zwiększą się także i wydatki, czyli, że zostanie tak, jak było.

Pierwszy cios, choć w związku z pragmatyką nie stojący, uderzy już pierwszego lutego, od tego dnia obowiązuje bowiem nowy podatek od alkoholu. Na litr tego smakołyku wypadnie pięćdziesiąt halerzy, szynkarze jednak postarają się z pewnością, aby przy tej sposobności upiec i dla siebie pieczeń i zarobić osobno bodaj dwa razy tyle.

Tak działo się dawniej, ciekawy jestem, dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Eleuterycy cieszą się, że wobec podrożenia trunków zmniejszy się może konsumcya alkoholu, „spirytyści" powiadają, że nie, zwłaszcza teraz, gdy zaczęła się już agitacya przedwyborcza do Rady miejskiej, co u nas nigdy przecież nie odbywa się na sucho.

W razie zresztą wstrzymania się od alkoholu, zepsulibyśmy zupełnie równowagę budżetową państwa, kraju i miasta, co byłoby czynem bardzo nieobywatelskim, mogącym mieć wprost nieobliczalne konsekwencye.

Jak tu zresztą nie popić, choćby tylko z radości, że pragmatyka, tak dawno oczekiwana, już jest! Jaka frajda z tego powodu między kupcami, którzy spodziewają się uregulowania rachunków, jaki ruch na czarnej giełdzie, gdzie krąży tyle weksli z podpisami c. k. urzędników!

Raduje się też niepomiernie i c. k. Administracya podatków, jeśli bowiem urzędnicy otrzymają wyższe pobory, tem samem będą musieli płacić wyższy podatek osobisto-dochodowy.

„Minimum egzystencyi, wolne od podatku, zostało już wypośrodkowane, Izba Panów zdecydowała się uznać, iż tysiąc sześćset koron wystarczy, choć pierwotnie upierała się przy tysiącu dwóchset, wychodząc z założenia, iż jeżeli najbiedniejsi będą płacić, ci, którzy są lepiej uposażeni, będą mieć spokój.

Najgorzej na tym podatku wychodzą, rzecz prosta, urzędnicy, oni bowiem nie mogą zataić swych dochodów i to, co u nas mówi się o „niemoralności" fasyonujących, do nich odnosić się nie może.

Pobierasz z kasy c. k. Urzędu podatkowego lub jakiejś innej podobnej instytucyi więcej, niż tysiąc sześćset koron rocznie, płać bracie i irytuj się, gdy słyszysz, że ten lub ów przemysłowiec, lub kamienicznik, choć ma dziesięć razy większe, niż ty dochody, otrzymał wymiar akurat taki sam.

Śruba podatkowa jest bezwzględną, gniecie na wszystkie strony, a wycisnąć potrafi najżywotniejsze soki. Każdy, kto jest przy niej zajętym, uważa za punkt honoru, by wydusić jak najwięcej, zwłaszcza, że przepisy podatkowe są w tym kierunku bardzo elastyczne i dadzą się w różny sposób interpretować.

Ponieważ lubię bardzo używać przykładów, jako działających silniej na wyobraźnię, pozwolę sobie przytoczyć scenę z posiedzenia komisyi wymiaru podatku osobisto dochodowego. Za prawdziwość nie ręczę, jak mi opowiedziano, tak powtarzam.

Przy zielonym stoliku siedzi kilku panów z minami bardzo seryo, wiedzą bowiem, że od nich zależy równowaga budżetowa całego państwa.

Referent zaczyna:

— Pan X. Y., urzędnik siódmej rangi, kawaler, bezdzietny. Na swoje utrzymanie wydaje bardzo mało, zachodzi więc uzasadnione przypuszczenie, iż musi posiadać pokaźne oszczędności. Jestem więc tego zdania, że na rok bieżący musimy mu podnieść wymiar podatku osobisto-dochodowego!

— A czy pan łaskawy jest pewny, że on ma rzeczywiście oszczędzone pieniądze? — pyta jeden z członków. — Czy są na to jakie dowody?

— Nie, dowodów namacalnych nie mam, ale takie jest moje osobiste przekonanie, a to zupełnie wystarczy... Sprawa więc załatwiona.

Członkowie kiwają głowami bardzo poważnie i w dalszym ciągu grają rolę siedmiu braci śpiących.

— A teraz, proszę panów — zabiera głos referent — pan Y. Z., urzędnik również siódmej rangi, żonaty, ojciec pięciorga dzieci, utrzymuje u siebie dwie sieroty po bracie i teściową, ogromnie zadłużony, przedłożył nawet dokładny spis, gdzie i komu co winien. Proszę panów, mnie się zdaje, że ten pan przedstawił sprawę w zanadto czarnych kolorach. Jestem zdania, że on musi mieć majątek, gdyż inaczej chyba niktby mu nie pożyczał, wobec tego wnoszę, aby na rok bieżący podnieść mu wymiar podatku osobisto-dochodowego a nie zniżyć, jak tego żąda.

— A czy łaskawy pan jest pewny, że on rzeczywiście ma majątek? Czy są na to jakie dowody?

— Nie, dowodów namacalnych nie mam, ale takie jest moje osobiste przekonanie, a to zupełnie wystarczy... Sprawa więc załatwiona...

I tak idzie dalej „w koło, Macieju", to, co dla jednego stanowi okoliczność łagodzącą, to drugiego znów obciąża, zależnie od „osobistego zapatrywania", które dąży tylko do tego, aby wygnieść jak najwięcej.

Z okazyi wprowadzenia w życie pragmatyki służbowej będzie więc znowu skrzypieć śruba podatkowa, która, jak ów legendowy Moloch, nie potrafi się nigdy nasycić, zawsze głodna i spragniona, ale tylko złota.

Ponieważ, jak już wyżej zaznaczyłem, reforma wyborcza do sejmu galicyjskiego prawdopodobnie już w najbliższym czasie doczeka się szczęśliwego rozwiązania, a pragmatyka urzędnicza otrzymała sankcyę, zapisać te dwa fakty należy na dobro roku 1914, który rzeczywiście zaczyna się jakoś lepiej zapowiadać. Nawet złota widzimy już więcej w obiegu i, gdybym nie obawiał się bandytów, oraz p. inspektora podatkowego, przyznałbym się, że jestem szczęśliwym posiadaczem dwu złotych dwudziestokoronówek, które jednak chowam na czarną godzinę.

Jeśli jeszcze panowie zecerzy zechcą wrócić do pracy, a podobno zanosi się na to już w niedługim czasie, wszystko ułożyłoby się należycie i gotówbym nawet uwierzyć, że pani de Thébes miała racyę, nazywając rok 1914 rokiem promiennym.

Przy sposobności owego strejku i pracy akademików w krakowskich drukarniach, „Naprzód" nie posiada się ze złości i powołuje się na stosunki angielskie, gdzie, według jego zdania, dzieje się inaczej, niż u nas. Tam — słowa „Naprzodu" — podczas strejku akademicy nie bawią się w takie rzeczy i nie stają na zdradzie towarzyszom.

Tak jednak nie jest, owszem, w Anglii w razie strejków, jakie tam obecnie urządzały stronnictwa radykalne, młodzież akademicka najczynniej i najdzielniej pomagała do przełamania terroru. I tak w Londynie studenci zastąpili tragarzy, w innych miastach stanęli do pracy jako zapalacze lamp, zamiatacze i t. d.

I nikt im z tego powodu nie robił zarzutu!

Ale Anglia to kraj prawdziwej wolności i kultury, gdzie społeczeństwo nie poddaje się terrorowi różnych demagogów, którzy sami na tem robią najlepszy interes.

Dajmy jednak spokój strejkowi, być może do przyszłego czwartku będzie już po nim.

Zajmijmy się natomiast czemś weselszem, mianowicie ciekawym wymiarem sprawiedliwości, rzecz prosta, w Prusach, w tym kraju bojaźni Bożej i dobrych obyczajów.

Wynik procesu wojskowego w Strassburgu, gdzie uwolniono oficerów, obwinionych o dopuszczenie się gwałtów w Saverne na bezbronnej, cywilnej ludności, jest już znany. Ciekawe były motywy wyroku, iż oskarżeni nie wiedzieli, że to nie wolno tak postępować. Pułkownik Reuter, jakby na kpiny ze zdrowego rozsądku, otrzymał nawet order, zapewne za waleczność.

Na ten temat krążą po Niemczech różne dowcipy, największym zaś jest rozmowa prezydenta policyi berlińskiej, Jagowa, z boginią sprawiedliwości, mającą, według wyobrażenia starożytnych, zasłonięte oczy.

Jagow, stając przed nią, rzecze:

— O ile pani ma do czynienia z oficerami, proszę zdjąć opaskę z oczu!...

W jakiejż sprzeczności stoi do sprawy sawernskiej zdarzenie, które miało miejsce w Wodzisławiu, na Śląsku!

Pewien, Bogu ducha winien jegomość, Polak, wyszedłszy sobie spokojnie rano na rynek, miał to nieszczęście, że kichnął i to głośno. To nie podobało się stróżowi publicznego bezpieczeństwa, który winnego strasznej zbrodni zakłócenia spokoju pociągnął do odpowiedzialności i zrobił doniesienie do sądu.

Prokurator dopatrzył się w tem także strasznego pogwałcenia przepisów i zażądał ukarania zbrodniarza więzieniem. Trybunał radził bardzo długo, wreszcie uwolnił oskarżonego, doradził mu przecież, by na przyszłość wstrzymywał się od kichania na ulicy.

Jeśli zestawimy ze sobą te dwie sprawy, musimy przyznać, że pruska Temida ma w samej rzeczy zawiązane oczy i tak, jak powiedział Jagow, zdejmuje opaskę tylko wtedy, o ile ma do czynienia z oficerami.

WIELKA SZARADA DO NAGRODY!

40 wspaniałych nagród wartości 3000 K.! 40 wspaniałych nagród wartości 3000 K.!

Ze względu na kolosalne zainteresowanie, jakie zawsze budziły wielkie nasze szarady, wyposażone wspaniałemi nagrodami i w tym roku dajemy Szanownym Czytelnikom „Nowości Illustrowanych“ dziesięć liter, zapomocą których można utworzyć pięćdziesiąt rozmaitych wyrazów. Jeśli litery te oznaczymy liczbami 1 do 10 i jak poniżej zestawiać będziemy, otrzymamy rozmaite wyrazy, których znaczenie podajemy:

o b s t r u k c y a

1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10.

Czytane w tym porządku podadzą nazwę modnego obecnie środka walki parlamentarnej.

1) 10, 5 miara powierzchni
2) 1, 2 rzeka w Azyi
3) 5, 10 egipski bóg słońca
4) 2, 10, 5 miejscowość znana z historyi polskiej
5) 2, 10, 3 instrument muzyczny
6) 8, 10, 5 panujący
7) 7, 1, 3 ptak
8) 5, 10, 7 znany skorupiak
9) 3, 10, 7 przyrząd rybacki
10) 5, 1, 7 okres czasu
11) 4, 6, 5 zwierzę parzystokopytne
12) 3, 6, 7 rodzaj głosu
13) 5, 6, 3 osobistość z mitologii słowiańskiej
14) 3, 4, 6, 7 rodzaj głosu
15) 3, 4, 1, 7 część wzgórza
16) 7, 6, 5, 10 ptak domowy
17) 2, 1, 5, 10 wiatr
18) 3, 10, 5, 10 imię biblijne
19) 10, 5, 7, 10 biblijny okręt
20) 7, 6, 2, 10 wyspa w Ameryce
21) 2, 10, 7, 6 miejscowość na Kaukazie
22) 4, 5, 9, 2 forma gramatyczna
23) 10, 7, 7, 10 miejscowość w Palestynie
24) 7, 5, 1, 7 miara odległości
25) 2, 6, 5, 7, 10 rodzaj okrycia
26) 3, 4, 9, 7, 10 malarz polski
27) 2, 6, 5, 10, 7 jarzyna
28) 2, 10, 5, 7, 10 rodzaj statku
29) 4, 9, 10, 5, 10 nakrycie głowy dostojnika
30) 10, 5, 4, 6, 5 imię męskie
31) 4, 6, 5, 7, 10 miejscowość w Galicyi
32) 2, 5, 9, 7, 10 wehikuł
33) 3, 5, 1, 7, 10 ptak
34) 5, 6, 5, 9, 7 założyciel ruskiego państwa
35) 3, 4, 9, 7, 3 rzeka znana z greckiej mitologii
36) 5, 10, 8, 9, 10 inaczej słuszność
37) 10, 7, 8, 9, 10 papier wartościowy
38) 3, 4, 10, 5, 7, 10 napój
39) 3, 6, 7, 6, 5, 3 inaczej pomoc
40) 10, 7, 10, 8, 9, 10 drzewo
41) 3, 4, 10, 8, 9, 10 miejsce zatrzymania
42) 4, 5, 10, 8, 9, 10 prowincya na Bałkanie
43) 4, 6, 5, 8, 9, 10 kraj w Europie
44) 7, 1, 3, 3, 10, 7 malarz polski
45) 2, 6, 5, 7, 6, 4 miejsce kąpielowe
46) 3, 10, 4, 9, 5, 10 rodzaj poezyi
47) 8, 9, 7, 1, 5, 9, 10 roślina
48) 10, 7, 6, 3, 4, 9, 7, 10 część nauki fizyki
49) 7, 6, 5, 9, 4, 9, 2, 10 miejscowość w Brazylii
50) 3, 9, 4, 6, 10, 8, 9, 10 inaczej położenie

Czytelnicy, ubiegający się o powyższe nagrody, muszą się zastosować do następujących warunków:

1) Rozwiązanie Szarady powinno być nadesłane w dostatecznie opłaconym liście, z napisem na kopercie u góry: **Rozwiązanie Szarady konkursowej,** najpóźniej do dnia 14 marca 1914 pod adresem: **Redakcya „Nowości Illustrowanych“ Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95.** Listów nieopłaconych lub niedostatecznie ofrankowanych nie przyjmujemy.

2) Rozwiązanie można przesłać tylko na specyalnym kuponie, który należy wyciąć z **„Nowości Illustrowanych“** i wszystkie rubryki należycie wypełnić. **Na osobnej kartce, opatrzonej nazwiskiem rozwiązującego, należy dołączyć znaczenie podanych pięćdziesięciu wyrazów w oznaczonym cyframi porządku.**

3) Nadsyłający rozwiązanie z Galicyi musi **prenumerować nasze pismo wprost w centralnej Administracyi, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego L. 95,** prenumeratorów z zagranicy warunek ten nie obowiązuje, muszą jednak do rozwiązania dołączyć kwit odnośnej księgarni lub biura dzienników, na dowód, że pismo nasze przynajmniej na kwartał zaprenumerowali (począwszy od 1-go stycznia 1914).

4) Jednemu i temu samemu prenumeratorowi nie przysługuje prawo przysłania kilku rozwiązań.

Nazwiska Prenumeratorów, którzy w terminie wyżej podanym nadeślą trafne rozwiązania, zostaną ogłoszone wraz z liczbami porządkowemi w numerze 12 z dnia 21 marca 1914 r. W tymże samym numerze podamy dzień losowania nagród.

Za dobre rozwiązanie niniejszej Wielkiej Szarady konkursowej przeznacza Redakcya do rozlosowania:

1) Maszynę do pisania najnowszego systemu.
2) Maszynę do szycia i haftu Singera.
3) Gramofon z 10 płytami.
4) Srebrny garnitur na biurko.
5) Srebrny kosz na owoce.
6) Srebrną papierośnicę.
7) Wspaniały kilim wzorzysty.
8) Browning najnowszej konstrukcyi.
9) Flobert.
10) Laskę z srebrną rączką.
11) Neseser z przyborami do szycia.
12) Maszynkę angielską do golenia.
13) Kasetę papieru listowego.
14) Pudełko pomadek.
15) Sześć modnych krawatek.

Ponadto dwadzieścia pięć nagród w książkach, które stanowić będą ostatnie nowości naukowe i beletrystyczne.

„NOWOŚCI ILLUSTROWANE“ 1914. Nr. ______

Kupon do rozwiązania szarady.

Znaczenie cyfr 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10 ______

Imię i nazwisko rozwiązującego ______

Miejsce zamieszkania (dokładny adres) ______

Ostatnia poczta ______

Prenumeratę zapłaciłem na rok 1914 dnia ______

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

10

Siła prądów elektrycznych.

Antoni był zadowolony w całej pełni!... Od kilku tygodni praca w laboratoryum sławnego lekarza stawała się poprostu synekurą — a synekura w okolicach Saint-Oven nie przedstawiała mu żadnej przyjemności.

Dawniej praca była ciągła, bardzo urozmaicona i ciekawa. Przywracał życie... na trupach zwierząt, niekiedy na ludzkich!... Życie, które trwało niedługo, zaledwie kilka minut — ale było na co patrzeć! Co za rozkosz przyglądać się podobnemu cudowi! Mieć przed sobą ciało, którego wszystkie organa uśpione są na wieczność i które przy pomocy prądów elektrycznych obdarza się poprostu — naddatkiem życia! Był nawet jeden, który, gdyby nie cudowna pomoc mistrza — byłby zupełnie wykreślony na zawsze z listy żyjących — i obudził się na dobre, ku ogromnemu przestrachowi Antoniego! Ale właśnie od tego wypadku doktor przestał pracować! Dokończył, co prawda, rozpoczęte badanie — ale pozwolił się zupełnie zaabsorbować przez innych klientów, szczególnie przez mieszkańców pałacu w Neuilly, dla których nawet uczynił taki nadzwyczajny wyjątek, że wyjawił im numer swojego telefonu! A był on dotąd dla wszystkich pacyentów tajemnicą!

A jak nadużywano tego telefonu! Cała uwaga i troskliwość doktora skupiła się teraz na rodzinie księcia Kiwani i był im posłuszny na każde wezwanie!... Dla księcia to przedsięwziął niedawno ciekawe doświadczenie, polegające na przywróceniu życia małpie o ludzkiem prawie obliczu! Zabito ją przedtem uderzeniem noża w serce, a następnie ta małpa pod siłą prądów elektrycznych podniosła się na stole sekcyjnym i przez siedm, czy ośm minut wyła przeraźliwie, wykrzywiając się przytem pociesznie! Odbyło się to w obecności doktora Dubreuil, członka Akademii, członków wielu stowarzyszeń naukowych i kilku wybitnych dziennikarzy! I naturalnie obecnym był i książe Kiwani!

Po tem doświadczeniu uwielbienie księcia dla sławnego doktora wzmogło się jeszcze i od tej chwili doktor zaniedbał się zupełnie! I Antoni miał niewiele roboty. Czyścił laboratoryum i narzędzia, czuwał nad aparatami elektrycznymi, no i pocieszał się przy kieliszku! Dłuższy nawet czas nie widział swojego pana, aż tenże jednego dnia niespodziewanie zjawił się po odbiór osobisty kilku flakonów, zawierających ciecz niebieską — przybyłych z Niemiec. Jeden z nich zawierał wyciąg mikrobów choroby mało znanej, a spotykanej u Murzynów w Kongo — spiączki śmiertelnej. Flakon ten oddany został w wyłączną pieczę Antoniego. Miał on nadzieję, że teraz doktor postara się o małpę — zabije ją tymi mikrobami i wskrzesi, jak tamtą, prądami elektrycznymi. Ale doktor o niczem podobnem nie myślał. — Przez trzy tygodnie panowało w laboratoryum zupełne bezrobocie.

Lecz na szczęście stan ten miał się zmienić; Antoni odebrał od doktora depeszę z Londynu — w której rozkazał usunąć z laboratoryum wszystkie niepotrzebne sprzęty, wyczyścić salę gruntownie — sprawdzić aparaty Rumhkorffa — słowem poczynić wszelkie przygotowania do nowego doświadczenia. Pozatem Antoni nie śmiał się na krok ruszyć z pawilonu i poczynić przedtem musiał zapas żywności starczący na kilka osób.

Nazajutrz doktor Gewolski przybył automobilem.

— Niema jeszcze nikogo? — zapytał służącego.

Był spokojny i, jak Antoni zauważył, szczególnie dobrze usposobiony.

Doktor Gewolski nie miał powodu do niepokoju lub zmartwienia. Przybywał z Chevreuse, gdzie nadzwyczajna awantura Rastewicza z waryatem wpłynęła bardzo uspakajająco na niego, co do skutków mogących wypłynąć z niezręcznej jego pomyłki. Ponadto w ciągu podróży z księciem Kiwani zdołał zdobyć zupełne jego zaufanie; czekała go więc przyszłość świetna i spokojna, opromieniona nieocenioną przyjaźnią księżnej Sahadze! Jedynie myśl o synu niepokoiła go trochę, ale pozbawiona już lęku przed rozłączeniem się z nim, gdyby Stanisław, dotąd taki posłuszny, oparł się towarzyszeniu ojcu do Indyi. Wszystko składało się jak najpomyślniej dla niego.

— Nie było jeszcze nikogo? — powtórzył wesoło Gewolski, skończywszy staranny przegląd laboratoryum.

Nie czekając na odpowiedź Antoniego — rozkazał się połączyć telefonicznie z doktorem Dubreuil, któremu oznajmiał wobec zdumionego i zachwyconego Antoniego o mającem nastąpić wspaniałem doświadczeniu. Zapewne doktor Dubreuil musiał przerwać entuzyastyczne wywody kolegi jakąś sceptyczną uwagą — gdyż Gewolski, uśmiechając się, mówił dalej: Tak, tak, i ja również dawniej miałem podobne przekonania, uważałem ich za szarlatanów, nadużywających wiary publiczności;... przypominał sławne doświadczenia tego rodzaju, notowane w dziennikach lekarskich, wkońcu utrzymywał, że nauka dzisiejsza nie śmie w nie wątpić, albowiem wszystkiego dokonać może... Przecież od szeregu lat dzień prawie każdy przynosił nadzwyczajne wynalazki ulepszenia...

Ludzie, poświęceni nauce, nie powinni pogardzać żadnem doświadczeniem. Poinformowany przez księcia Kiwani, iż w Londynie jest fakir, uśpiony od kilku miesięcy, zamknięty w lakowej trumnie — udał się do Anglii i powrócił z tym żyjącym zmarłym. Trumny oczekuje w tej chwili w swojem laboratoryum; usiłowanie obudzenia fakira urzeczywistni się więc nie w Indyach, pośród możliwych wspólników. Doktor pragnął przy tem doświadczeniu pewnych, uczonych świadków, w tym celu zapraszał więc kolegów, którym wiadome były jego prace i usiłowania w tym kierunku, a mogących mu dopomódz w wyświetleniu tej nadzwyczajnej zagadki lub też w odkryciu kłamstwa.

Ciąg dalszy nastąpi.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipiński. Nakładem własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego.